



FOT. MICHAŁ WODZIŃSKI/EAST NEWS



Z prof. Andrzejem Nowakiem, autorem „Dziejów Polski”
rozmawia Krzysztof Masłoń

Opozycja z „zagranicą” przeciw królowi

KRZYSZTOF MASŁOŃ: Szósty tom „Dziejów Polski”, który właśnie się ukazał, obejmuje czas niezwykle ważny dla naszej historii, a także dla współczesności. To w XVII w. z całą mocą ujawnia się kwestia ukraińska. Opozycja wobec władzy królewskiej nie tylko szuka poparcia za granicą, lecz także wręcz wspiera obcą interwencję zbrojną. Wreszcie pojawia się tyleż dziwne, ileż haniebne zupełnie nowe zjawisko, a mianowicie wstyd za Polskę, wstyd za Rzeczpospolitą. Czy istniały ku temu powody?

PROF. ANDRZEJ NOWAK: Czterdziestolecie między wstąpieniem na tron Władysława IV w roku 1632 a śmiercią króla Michała Korybuta Wiśniowieckiego w 1673 r. okazało się przełomem w funkcjonowaniu elit Rzeczypospolitej. Przez elity te rozumiem tych, którzy świadomie uczestniczyli w życiu sejmowym i sejmikowym, a więc życiu politycznym. W sumie było to od kilkunastu do kilkudziesięciu tysięcy osób. Pod wpływem tragedii kozackiej wojny i następującego po niej potopu część owych elit, zwłaszcza ich najwyższych warstw zwanych magnatami, przeżyła załamanie wiary w Rzeczpospolitą, wiary w Polskę.

Celowo używam tych dwóch form, które nie są tożsame – ale właśnie w tamtych latach, o których opowiadam w szóstym tomie „Dziejów Polski”, są już stosowane wymiennie. Rzeczpospolita jako forma ustrojowa wyróżniała się na tle większości państw ówczesnej Europy swoją podstawą wolnościową. To miał być ustroj wolności, będący powodem do dumy, a nie wstydu. I z tą

dumą odpierano wcześniej rozmaite kalumnie, bo przecież negatywnych opinii o Polsce nie brakowało, nie były one zresztą niczym wyjątkowym. Od wieków średnich istniała oś podziału Północ – Południe, ta pierwsza była uznawana za barbarzyńską, ta druga za kulturalną. Niccolò Machiavelli w „Księciu” wzywa do wyzwolenia Italii z rąk barbarzyńców, mając na myśli Francuzów. W samych więc atakach na Rzeczpospolitą, w wytykaniu naszym przodkom, że są mniej ogładzeni, mniej kulturalni, gorsi od europejskiego centrum sytuowanego gdzieś na południu, nie było nic nowego. Mierzono się z nimi, dowodząc jak Jan Ostroróg na dworze papieskim jeszcze w XV w., że w istocie jest przeciwnie – że jesteśmy ze wspaniałego kraju. A przechodząc do XVII stulecia, o którym mówimy, trudno pominąć sławną wjazd Jerzego Ossolińskiego do Rzymu w roku 1633, jego znakomitą mowę, a i konie, które miały gubić złote czy srebrne podkowy...

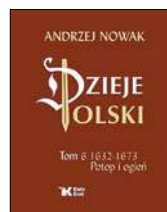
To już chyba element legendy...

Celowo zostawiam te szczegóły na marginesie, niemniej jest udokumentowany przeypch, z jakim Ossoliński wystąpił, bogactwo – eksponowane podobnie jak np. orientalizm – niezwykle efektownych strojów. Kiedy więc pojawiły się na zachodzie Europy teksty zawierające krytykę Rzeczypospolitej,

takich autorów jak Tomasz Lansjusz, profesor protestanckiego uniwersytetu w Tybindze, czy pochodzący ze Szkocji John Barclay, piszący o Polakach jako o „narodzie zrodzonym do gwałtów i swawoli”, dowiadywali się w uczonych odpowiedziach Sarmatów (drukowanych oczywiście po łacinie), że nic o nas nie wiedzą, nie znają naszej kultury, nie pojmują naszej wolności, bo sami żyją w niewolnym ustroju. Tak odpowiadał Starowolski, tak odpowiadał Opaliński.

Kiedy młody Jerzy Sebastian Lubomirski – który później miał zasłynąć zarówno zwycięstwami w ważnych dla Rzeczypospolitej bitwach, jak i fatalnym rokoszem – przyjechał do Paryża, przyjmowany był przez Ludwika XIII i kard. Richelieu, podziwiał wspaniałe dwór i miasto, niemniej wiedział, że jest bogatszy, że może pozwolić sobie na wspaniałe fundacje klasztorów czy pałaców i że żyje w kraju dla ludzi takich jak on wolnym. A Francja jest monarchią absolutną, krajem ludzi zniewolonych przez monarszy dwór i jego urzędników – nie ma więc wobec niej żadnego poczucia niższości.

Na progu okresu, który opisuję, wciąż żywa jest pamięć incydentu, który miał miejsce przy wyborze francuskiego kandydata do tronu polskiego Henryka III Walezego, kiedy to polsko-litewska delegacja Rzeczypospolitej postawiła warunki Francji, bo nie



ANDRZEJ NOWAK
„DZIEJE POLSKI”,
TOM 6
BIAŁY KRUK
2023

■ tylko chodziło o osobę króla mającego przyjechać do Polski i przyjąć ustalenia artykułów henrykowskich, lecz także o tzw. postulata polonica. Wtedy, w 1573 r., było to powiedzenie wprost, że powinniście zmienić ustrój, bo ten, który macie, jest – przepraszam za wyrażenie – dziadowski w porównaniu z naszym tolerancyjnym, wolnym.

Po 100 latach od tamtego wydarzenia wszystko jednak się odmieniło i przed Francją biliśmy pokłony.

W 1672 r. starosta radomski Piotr Kochanowski pisał do pośta francuskiego w Warszawie: „My decydujemy się nie

tylko na przymierze z Francją, ale na wcielenie (incorporationem) Królestwa Polskiego do Królestwa Francuskiego, niech tylko Jego Najjaśn. Arcy-Chrześcijańska Mość (czyli Ludwik XIV) raczy przyjąć rządy tak rozległego królestwa, albo sam bezpośrednio (per se), albo przez vice-króla. Przeklinamy niepotrzebne (superfluas) prawa nasze, znosimy szkodliwe zwyczaje. Chcemy żyć w ojczyźnie naszej podług wolności francuskiej”.

Czy był to krewny znanych z literatury polskiej Kochanowskich?



Król Władysław IV prowokował ustrój Rzeczypospolitej i wzywał Kozaków do walki z Rzeczpospolitą. Wiemy o tym od Marka Sobieskiego, brata Jana, któremu powiedział to sam Chmielnicki

FOT. ZAMEK KRÓLEWSKI NA WAWELU

To była bardzo rozrośnięta rodzina, tam właśnie w Radomskiem, ale ten miłośnik Króla Słońce nie miał nic wspólnego z Piotrem Kochanowskim, tłumaczem „Goffreda”, ani z wielkim Janem Kochanowskim. Zacytowałem ten akt poddańczy, bo jest to stwierdzenie, że wszystko, co do tej pory Rzeczpospolita stanowiła, nic nie jest warte.

W nie tak znów dawnych czasach pół żartem, pół serio mawiano, że najlepiej byłoby dla Polski, gdyby stała się – cóż, że zamorskim – jeszcze jednym stanem USA... Teraz niedalecy od podobnych pomysłów wydają się fanatyczni zwolennicy pomysłów powstających w głowach polityków Unii Europejskiej.

Wiele się jednak pod tym względem zmieniło, i to w ostatnich paru latach. Żaden wzorzec zagraniczny nie ma już u nas takiej siły przyciągania jak jeszcze kilkanaście lat temu – a już na pewno ani Niemcy, ani Francja. Może Szwajcaria, ale też nie byłbym tego pewny. A fatalne pismo starosty radomskiego zacytowałem, by unaocznić kontrast między XVI a XVII stuleciem.

Coś się w tym czasie zepsuło w Polakach?

Zadecydowały dramatyczne doświadczenie roku 1648 i kwestia kozacka – bezpośredni zapalnik całego kryzysu potęgowanego przez inny kryzys, wewnętrzny, rozwijający się już wcześniej. To od czasów Jana Zamoyskiego wokół najbardziej ambitnego magnata tworzy się rodzaj opozycji, która odwołując się do hasła wolnościowego, blokuje działania króla, oskarżając go o absolutyzm.

Skład tej opozycyjnej partii będzie się przez lata zmieniał, różne będą motywy przynależności do niej. Poza osobistymi ambicjami skrytymi za parawanem złotej wolności szlacheckiej ważna będzie odrębność litewska, podkreślana przez Radziwiłłów czujących się na Litwie gospodarzami i odziewających się od związków z Koroną. Jeszcze istotniejszy byłby motyw wyznaniowy. W Polsce stopniowo przeważać będzie kontrreformacja, co wywoła gorącą reakcją elit protestancko-prawosławnych. No i mamy Kozaków, nabierających coraz większego znaczenia, odkąd w 1621 r., pod Chocimiem, wydatnie przyczynili się do uratowania Rzeczypospolitej.

Żeby za czasów Władysława IV stać się nieomal królewskimi faworytami.

Źródłem istnienia Kozaczyzny jest wojna. Kozacy musieli walczyć, a obywatele szlacheccy wojny nie chcieli. Może to niejednego dziwi, ale istotą obywatelstwa Rzeczypospolitej jest pacyfizm. Zaprawiamy się do sztuki wojennej, ćwicząc np. w husarii, ale po to, by bronić ojczyzny, a nie by prowadzić agresywną wojnę zewnętrzną. Za wojną czai się wzmocnienie władzy królewskiej, nie chcemy więc silnego wojska, nie chcemy płacić na nie podatków. W ogóle nie chcemy ich płacić, ale już na armię szczególnie, jako że król zacznie wszystkim dyrygować. I co się stanie z naszą wolnością? A tu Kozaczyzna popycha Polskę w stronę budowy imperium, wskazuje naturalny dla nas kierunek – albo do Dunaju i dalej, do Turcji, albo na Ruś, na Moskwę. Władysław IV, jak każdy młody, ambitny władca, nie pozostaje głuchy na takie podszepty.

Ten król ma w naszej historii dobre notowania, choć do cesarza Ferdynanda pisał, że „nie może żyć się z Polską”, jego wielkie aspiracje pozostały niezrealizowane, a po swoich rządach pozostawił ogromne zadłużenie. W dużej mierze takie postrzeganie Władysława IV zawdzięczamy Henrykowi Sienkiewiczowi, który go chyba przeenił. Swoją drogą, pan profesor też nie kryje swego zauroczenia prozą autora „Potopu”?

Oczywiście. A Władysław IV nie bierze pod uwagę tego, że obywatele nie chcą wojny. I łamie ustrój Rzeczypospolitej poza plecami Sejmu i pierwszych urzędników Rzeczypospolitej, hetmanów nawet, przygotowuje operację wojenną – w porozumieniu z Kozakami. A to już wywołuje strach obywateli, że król uczyni z nich swoją gwardię. Stanisław Lubomirski, najpotężniejszy magnat w Małopolsce w 1647 r., napisze, że jak tak dalej pójdzie, to za akceptacją króla Kozacy wedrą się do pałaców pierwszych obywateli.

Na dobrą sławę Władysława IV nakładają się cieniem rządu jego młodszego brata, Jana Kazimierza. To dopiero za jego królowania na Rzeczypospolitą zwała się cała góra nieszczęść.

W uproszczeniu można to ująć tak: za Władysława IV wszystko było jeszcze w najlepszym porządku, budowano piękne pałace – i nagle nastąpił krach. Otóż nie, tę tragedię przygotowało właśnie jego panowanie. Król prowokował ustrój Rzeczypospolitej i – co najgorsze

i czego nie da się obronić – kiedy spotyka się z Chmielnickim i paroma jeszcze przywódcami Kozaczyzny i oni skarżą mu się na lokalnych podstarościch, Władysław IV mówi im: „No, ale macie szablę przy boku”. Wzywa Kozaków do walki z Rzeczpospolitą! Wiemy o tym od Marka Sobieskiego, brata Jana, któremu powiedział to sam Chmielnicki...

Ten sam, na którego rozkaz zostanie Marek Sobieski ścięty w 1652 r. w „Sarmackim Katyniu”, po bitwie pod Batohem.

Wcześniej jednak, po bitwie wygranej przez Chmielnickiego, wypuści on po ugodzie zborowskiej Marka Sobieskiego jako cennego jeńca. I wtedy opowie on Sejmowi o królewskiej zdradzie.

A całkiem niedawno, bo w roku 2002, w rocznicę rzezi pod Batohem, na Ukrainie wybito jubileuszową monetę...

Zenobi Chmielnicki miał jakieś wyjątkowe powody, by nienawidzić Polaków?

Miał powody do osobistej wrogości; to, co pisał na ten temat Sienkiewicz, było prawdą. Rzeczywiście został skatowany, pobito mu syna, zamknięto go w więzieniu – niesłusznie, bo z powodu prywatnego zatargu o kobietę i majątek, ale i słusznie, bo już się domyślano, że szykuje bunt, że przygotowuje do użycia w tym celu odpowiednie papiery (które dał Kozakom Władysław IV!). Dalej poniosła Chmielnickiego nie tylko jego osobista nienawiść. Jego sukcesy były pochodną słabości Rzeczypospolitej i – co staram się pokazać w swojej książce – błędów popełnianych przez konkretnych ludzi w konkretnym miejscu i czasie.

A Chmielnicki traktował kozackie interesy i samych Kozaków czysto instrumentalnie. Dotyczy to np. kwestii prawosławnej. Słusznie pisał mój mistrz

W 1648 r. w uniwersale do ludu ukraińskiego Chmielnicki wzywał: „Gotujcie się na tych nieprzyjaciół naszych i wiary starożytnej naszej, Lachów, wrogich narodowi naszemu. Tak swoich panów i sług ich Żydów wybijajcie, ścinajcie, wytracajcie dla świętości ziemi naszej”

Zasmuciła mnie ta informacja, bo to niemal tak, jakby rosyjska mennica państwowa wybiła okolicznościową monetę czy medal w rocznicę zbrodni katyńskiej. Batoh był kulminacją nienawiści, kulminacją świadomości przez Chmielnickiego zbudowaną. Bitwy w tamtym czasie nieraz kończyły się rzeziami, tak było m.in. pod Beresteczkiem; mawiano, że dobijano wrogów „na rozgrzanego”. Ale pod Batohem dokonano zbrodni na zimno. Chmielnicki wykupił polskich jeńców od Tatarów i przez dwa dni po skończonej bitwie ścinano im głowy.

W 1648 r. w uniwersale do ludu ukraińskiego Chmielnicki wzywał: „Gotujcie się na tych nieprzyjaciół naszych i wiary starożytnej naszej, Lachów, wrogich narodowi naszemu. Tak swoich panów i sług ich Żydów wybijajcie, ścinajcie, wytracajcie dla świętości ziemi naszej, którą za błogosławioną być obiecujemy”. A hołota zaporoska słuchała... Skądinąd na pewno przed tym rokiem żadnego narodu ukraińskiego w dzisiejszym rozumieniu tego słowa, nie było. Nie mogło więc być mowy o żadnym narodowym ucisku. Ale czy Bohdan

z Uniwersytetu Jagiellońskiego, prof. Władysław Serczyk, że dla Kozaków religia nie miała większego znaczenia – byli w istocie areligijni. Prowadzili taki tryb życia, żyli z zabijania i Dekalogiem specjalnie się nie przejmowali. Chmielnicki, odwołując się więc do prawosławia, miał na względzie umocnienie swej roli w całej społeczności, którą ahistorycznie nazywamy ukraińską, a którą raczej na tym obszarze należałoby nazywać ruską czy rusińską, w której byli zarówno wierna Rzeczypospolitej ruska, prawosławna szlachta, jak i wojewoda kijowski Kisiel czy metropolita Mołyła, i masy chłopskie. Chmielnicki nie był żadnym drugim Spartakusem i chłopstwo ruskie potrzebne mu było jedynie do realizacji własnych ambicji, a te sięgały idei wybudowania imperium – Bohdana Chmielnickiego. Po wielu próbach usiłował w końcu doprowadzić do jego powstania na terenie dzisiejszej Rumunii, żeniąc swego syna Tymosza z córką hospodara Mołdawii. I to się już zdecydowanie Kozakom nie spodobало, bo oni chcieli walczyć

o swoje, a wymarzone przez Chmielnickiego imperium mieli za nic.

Tak czy inaczej XVII-wieczne kozackie powstania wywarły ogromny wpływ na dalsze losy Rzeczypospolitej.

One zmieniły historię Europy! A ponieważ skruszyły się Rzeczypospolitej i nie udało się ich stłumić w zarodku, ze zwielokrotnioną mocą pojawiły się wszystkie te odśrodkowe elementy, o których mówiliśmy wcześniej. Kiedy Rzeczpospolita znajduje się w kryzysie, zmagając się z Kozakami i z Moskwą, pojawia się wykorzystujący tę sytuację nowy, agresywny sąsiad, czyli Karol Gustaw, w którym część naszych obywateli widzi swego patrona lub choćby obrońcę przed najeżdżącą moskiewskim. Przypomnę, że w tragicznym roku 1655 połowa wschodniej Rzeczypospolitej zajęta była przez Moskwę i Kozaków i choć Jan Kazimierz próbował jeszcze organizować obronę, to znaleźli się magnaci, w tym katolicy, którzy postanowili nie bronić się przed Szwedami, głównie zresztą w imię wrogości wobec własnego króla. Taka była motywacja elit wielkopolskich z Opalińskim na czele, niemających żadnych powodów, by zrywać z Polską, tylko tę jedną – nienawiść do własnego rządu...

W efekcie pod Ujściem doszło do...

... kapitulacji bez walki. Hańby większej, moim zdaniem, niż ta, która okryła Radziwiłłów, bo tamci byli w tragicznej sytuacji i Janusz Radziwiłł w obliczu Wilna zajętego przez Moskwę wybierał mniejsze zło. Wielkopolska natomiast poddała się Szwedom, bo dla niej większym złem był polski król. Pod Zborowem w czasie walk z Kozakami wielkopolskie elity też zresztą odmówiły jakiegokolwiek pomocy. To działało się 800 km od nich. Co tam będą się bić z Kozakami! Oczywiście znamy przypadki pochodzących z Wielkopolski wspaniałych patriotów czy wręcz bohaterów, jak Mikołaj Skrzetuski, pierwowzór postaci wykreowanej przez Sienkiewicza, który okrył się chwałą nie tylko pod Zbarazem.

Może Rzeczpospolita byłaby w stanie zebrać siły, gdyby nie zaprzepaszczono zwycięstwa odniesionego pod Beresteczkiem w 1651 r., kompletnie niewykorzystanego. Dlaczego?

Po pierwsze, udało się wówczas dywersja Chmielnickiego, którego agent



Hieronim Radziejowski, arcyzdrajca, który w imię własnych interesów gotów był zniszczyć Rzeczpospolitą, oskarżał króla o złe dowodzenie w bitwie pod Beresteczkiem, choć wszyscy historycy wojskowości są zgodni, że Jan Kazimierz najlepiej się tam spisał i dowodził wojskami bardzo sprawnie. FOT. DOMENA PUBLICZNA

Aleksander Kostka-Napierski wszczął na tyłach Rzeczypospolitej powstanie i choć nie stało się ono masowe, to wywołało ogromne zaniepokojenie wśród walczącej szlachty rozumującej, nie bez racji, w ten sposób: my tutaj ścieramy się z Kozaczyną, a nasze domy są płańdrowane, a żony piętami rżnięte.

Wanda Wasilewska swego czasu zrobiła z Kostki-Napierskiego ludowego bohatera.

Dzisiaj jest on znacznie bardziej popularny, bo Wand Wasilewskich wszystkich płci mamy dziesiątki. Ale pod Beresteczkiem znów dała znać o sobie opozycja antykrólewska, nie cofając się przed żadnym oszczerstwem. Hieronim Radziejowski, arcyzdrajca, który w imię własnych interesów gotów był zniszczyć Rzeczpospolitą, oskarżał króla o złe dowodzenie w bitwie, choć wszyscy historycy wojskowości są zgodni, że pod Beresteczkiem Jan Kazimierz najlepiej się spisał i dowodził wojskami bardzo sprawnie. Jednak kampania Radziejowskiego, w którego wydaniu opozycyjność przekroczyła granicę zdrady, nie pozostawała bez echa i wpływała na nastroje wśród szlachty. Oficerowie i żołnierze powtarzać zaczęli, że nie chcą już dalej walczyć, bo to leży tylko w interesie króla dążącego do absolutyzmu i zagrażającego ich wolności. Pospolite ruszenie powróciło do domów, a Jan Kazimierz nie mógł go zatrzymać. Tymczasem zdrajca Radziejowski dopiero zaczyna swą karierę. I niebawem przedstawi na dworze szwedzkim projekt wspólnego uderzenia z Kozakami Chmielnickiego na Rzeczpospolitą,

do tego we współdziałaniu z opozycją antykrólewską na Litwie i w Polsce.

Mimo ciążącego na nim wyroku nic mu się nie stało, a swój żywot zakończył, o zgrozo, jako poseł na służbie Rzeczypospolitej!

Rzeczywiście żaden z tamtych zdrajców nie został ukarany. Na mocy pokoju w Oliwie amnestiowano tych wszystkich, którzy na początku potopu szwedzkiego przeszli na stronę Karola Gustawa, no ale Radziejowski skazany został wcześniej, a mimo to nic mu się nie stało. Popierała go część magnatów, także szlachty z ziemi, z której się wywodził, a w końcu okazał się przydatny królowej Ludwice Marii, gdy ta zmierzała do ustanowienia tronu dziedzicznego i wprowadzenia elekcji vivente rege, by po abdykacji Jana Kazimierza królową Polski uczynić swoją wydaną za Francuza siostrzenicę.

Cóż, para królewska sięgnęła wtedy po najgorszy element, antagonistyczny obóz robił zresztą to samo; i gdy takiego męta jedni wyrzucili, znajdował u drugich przytulisko. Parze królewskiej potrzebni byli nagle, po rokoszu Lubomirskiego, fałszywi świadkowie gotowi do krzywo-przysięstwa przed Sejmem, i Radziejowski takich znajdował. W końcu jednak godnie reprezentował Rzeczpospolitą w poselstwie do Turcji, gdzie nie dał sobie zginać karku. Mamy w historii – i nie tylko w niej, bo współcześnie aż roi się od postaci, które żadnych, ale to żadnych karier w służbie publicznej nie powinny robić – przypadki nawróconych grzeszników i choć słaba to nadzieja, to wierzymy, że dopóki człowiek żyje, dopóty choć częściowo naprawić może swoje błędy.

Czytając szósty tom pańskich „Dziejów Polski”, myślałem o tym, że to właśnie w czasach, które pan przybliży, narodziło się imperium rosyjskie, wcześniej będące tylko Moskwą. Stało się to za sprawą Kijowa, co – niezależnie od wszystkich naszych ocen – nadaje agresji Putina jeszcze jeden, i to ważny, aspekt.

Nie ma Rosji bez Kijowa – to zdanie brzmi strasznie dla Ukraińców, ale tak jest właśnie sposób rozumowania Rosjan. Możemy na to pomstować i to czynimy, nie zmienia to jednak tego, że ten punkt widzenia utrwalił się w XVII, a nie w XXI w. Wcześniej też chodziło o Kijów władcom moskiewskim walczącym z Jagiellonami, jeszcze z królem Aleksandrem, Janem Olbrachtem i Zygmuntem

Starym. Iwan III, a potem Wasyl III dążyli do Kijowa jako do „matki miast ruskich”, a zarazem duchowego centrum ruskiego prawosławia. To przez Kijów szła droga do Konstantynopola, Drugiego Rzymu. I właśnie uzyskane w roku 1654 panowanie nad Kijowem sprawia, że Moskwa osiąga stałą strategiczną przewagę nad Rzeczpospolitą. W momencie, w którym Chmielnicki daje Moskwie prezent w postaci Kijowa, trudno się dziwić, że ta korzysta z okazji. Ale nie uczyniła tego bez namysłu, pamiętała bowiem jeszcze lekcję, której udzieliła jej Rzeczpospolita pod Smoleńskiem w 1633 r. W końcu jednak, widząc polską słabość, będącą wynikiem – powtórzę raz jeszcze – błędów konkretnych ludzi, sięgnęła po Kijów. Przypomnę jednak, że na mocy rozejmu andruszowskiego w 1667 r. Kijów miał być tylko dwa lata po stronie moskiewskiej, a potem być polski.

Tak się jednak nie stało...

A dlaczego? Proszę przeczytać ostatnie rozdziały mojej książki. Opozycja zrobiła wtedy wszystko, by obalić króla wybranego ledwie parę tygodni wcześniej – Michała Korybuta Wiśniowieckiego, syna wielkiego Jeremiego. Na czele tej wyjątkowo brutalnej opozycji stała partia francuska z Janem Sobieskim i prymasem Prażmowskim. Te wszystkie ataki na króla miały miejsce wówczas, gdy trzeba się było zjednoczyć, przeciwstawiając się Moskwie. Michał Korybut, abstrahując od tego, czy był władcą dobrym czy nie, na pewno nie miał złych zamiarów wobec Rzeczypospolitej i w żadnym wypadku nie zasłużył na to, jak potraktowany został...

... przez totalną opozycję, która posłużyła się wobec niego, używając dzisiejszego języka, hejtem. Wypominano mu kalectwo i wygląd fizyczny – porównując z małpą; posądzano o homoseksualizm, a nawet pedofilię, wytykano rzekome niedostatki wykształcenia.

Od początku do końca była to kłamstwa, a palce u nóg, które stracił, odmroził sobie w wyprawie na Moskwę. Nastąpił jednak wtedy czas druków ulotnych, w których wypisywano, co komu tylko przyszło do głowy. Z tych wierutnych kłamstw zawsze coś zostawało w opinii publicznej. I to jest z pewnością smutna lekcja płynąca dla nas z tego dramatycznego opisywanego przeze mnie

czasu, który kończy się zdobyciem przez Turków Kamieńca i śmiercią, po krótkim panowaniu, Michała Korybuta Wiśniowieckiego. Ale mamy też lekcję budującą. Tę, że w momencie, gdy wydawało się, iż Rzeczypospolitej już nie ma, w listopadzie i grudniu 1655 r., kiedy mieliśmy przystawiony nóż do gardła, znaleźli się ludzie wierzący w celowość walki nawet w takiej – beznadziejnej, zdawałoby się – sytuacji. To byli konfederaci od Kmicica – Samuela Kmicica, bo tak miał na imię prawdziwy chorąży orszański – ludzie z zawiązanej przeciw Januszowi Radziwiłłowi konfederacji wierzbowski, z marszałkiem Kazimierzem Żeromskim, i szlachta z następnej konfederacji – tyszowieckiej. Wreszcie powracają i ci hetmani, którzy opuścili króla, i nagle 100 tys. szabel chce walczyć o Rzeczpospolitą, domaga się jej powrotu na mapę. I tak się staje, będzie ona istniała jeszcze 120 lat, bez Kijowa – to prawda, okrojona od wschodu, ale będzie, a miało jej nie być już od połowy XVII w. To nie jest do pogardzenia.

Rozbiory Polski nie były wcale nowym pomysłem. W 1656 r. zdarzył się pierwszy traktat rozbiorowy, w siedmiogrodzkim Radnot. Państwo polsko-litewskie miało zostać podzielone między Karola Gustawa, księcia Jerzego Rakoczego, Bohdana Chmielnickiego, elektora brandenburskiego Fryderyka Wilhelma i Bogusława Radziwiłła, jeszcze jednego zdrajcy, który zawsze spadał na cztery łapy. Tyle było w tym dobrego, że elektor czegoś się jednak nauczył, bo w testamencie politycznym zalecił ponoć swym następcom: „Trzymajcie się Rzeczypospolitej nigdy niewymierającej”.

Traktat w Radnot poprzedziło wiele dwustronnych negocjacji między stronami, nowy był w nim jedynie udział Bran-

denburgii. Prusy Książęce były dotąd mało znaczącym księstwem, do tego wasalem Rzeczypospolitej, aż tu raptem zgłosiły ambicje zajęcia całej Wielkopolski i części Pomorza. Po 100 latach powtórzą je Fryderyk II i jego następca Fryderyk Wilhelm. W swej słynnej mowie sejmowej Jan Kazimierz powie proroczco, że jeśli się nie zreformujemy, to Brandenburgia, Habsburgowie i Moskale rozbiorą Rzeczpospolitą. Niestety, na słowach się skończyło i tutaj to już Jan Kazimierz ponosi odpowiedzialność za to, że tej reformy nie przeprowadził, skupiając się na zapewnieniu tronu polskiego siostrzenicy swej żony, co z całą pewnością z reformą nie miało nic wspólnego, a rozjuszało szlachtę pomysłem elekcji vivente rege, czyli za życia króla.

Oddając sprawiedliwość wybitnym patriotom tamtego czasu, niepodobna pominąć roli, jaką w przeganiu z ziem Rzeczypospolitej szwedzkich grasantów odegrała obrona Jasnej Góry.

Była to głośna sprawa, nawet wychodząca w Niemczech „Theatrum Europaeum” pisała o niej na początku 1656 r. W społeczeństwie polskim zaś obroną klasztoru jasnogórskiego interesowały się wszystkie warstwy: szlachta, mieszczaństwo, chłopcy. Jasna Góra była celem pielgrzymek już wcześniej, a w czasie szwedzkiego najeźdu zintegrowała katolików, skupiając ich wokół obrony miejsca, którą protestancki najeźdźca zamierzał złupić. Propagandowo miało to ogromne znaczenie, w czym niemały udział miał przeor klasztoru Paulinów, ks. Augustyn Kordecki, jako autor dzieła „Nova Gigantomachia”.

Jednak serdeczne słowo należy się jeszcze jednemu miastu. Chodzi o Lwów, w którym nieprzypadkowo Jan Kazimierz uczyni swoje sławne śluby. To jedyne duże miasto Rzeczypospolitej, które nie poddało się ani Kozakom Chmielnickiego, ani Moskwie, ani Szwedom czy Siedmiogrodzianom. Pozostał Lwów oazą wolnego, niepodległego ducha, a wybitną rolę odegrał również pod względem operacyjnym. To tam mógł wrócić Jan Kazimierz ze swej emigracji na Opolszczyznę i tam zebrać masy wojska – między Tyszowcami a Lwowem właśnie. Za te zasługi papież Aleksander VII nadał w 1658 r. miastu dewizę „Semper fidelis” – „Zawsze wierny”. Niech to będzie dla nas wzorem i dzisiaj.